Nr. 13 We Lwowie, 1 lipca 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WITOŁD ZIEMBICKI

Alfred Brehm

(ur. 1829 † 1884)

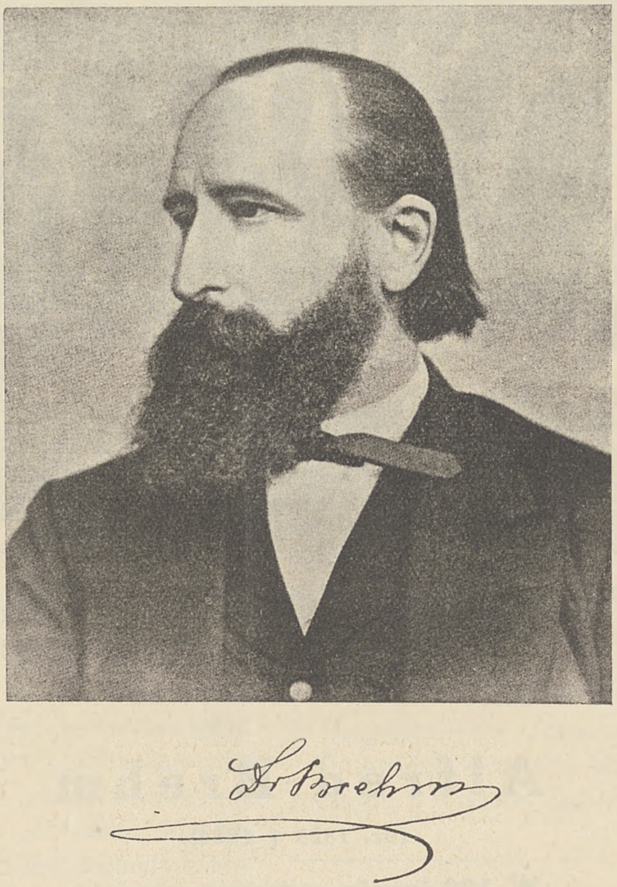
W 100-letnią rocznicę urodzin.

Nazwisko Brehma należy w całym świecie do najpopularniejszych. Z ludzi dziś żyjących każdy, choćby przeciętnie tylko wykształcony człowiek, zna je od dziecka. Bo jeśli już nie tekst, to rysunki, zdobiące wielkie dzieło Alfreda Brehma o zwierzętach, bawiły oczy nasze od najwcześniejszej młodości. Ale zdarza się nieraz — i to już u osób wcale wykształconych — że dwóch Brehmów łączy się w jedno, a co najmniej, że się tych dwóch Brehmów, ojca i syna, dobrze nie rozróżnia. Obaj byli znakomitymi przyrodnikami. Ojciec, Chrystjan Ludwik, u Niemców znany powszechnie pod nazwą „der alte Brehm“, — urodzony 24 stycznia 1787, był pastorem w miejscowości Renthendorf w Turyngji i zajmował się ornitologją. Na polu systematyki ptaków położył wielkie zasługi. On pierwszy zaczął zwracać uwagę na odmiany gatunków, spowodowane najrozmaitszemi warunkami, np. właściwościami środowiska. Dzieła jego i prace obejmują 142 pozycyj, do najcenniejszych należy: „Handbuch der Naturgeschichte aller Vögel Deutschlands“ z 47 kolorowanymi miedziorytami. Utrzymywał on szerokie stosunki z współczesnymi przyrodnikami w kraju i zagranicą; do nich należał nasz, zapoznany wówczas przez swoich, Stanisław Konstanty z Siemuszowej Pietruski, z którym to „stary“ Brehm prowadził nadzwyczaj żywą i serdeczną korespondencję, otwierając mu zarazem swym wpływem dostęp czy to do zrzeszeń uczonych niemieckich, czy to do redakcyj najpoważniejszych wówczas czasopism. Do sprawy tej kiedyś powrócę.

Syn, Alfred Edmund, u Niemców znany pod nazwą „Tierleben-Brehm“, urodził się w Renthendorfie dnia 2 lutego 1829. Z trzech synów pastora, Alfred okazywał najwięcej zamiłowania do nauk przyrodniczych, on też towarzyszył ojcu już jako chłopię na wycieczkach myśliwsko-ornitologicznych, nauczył się patrzeć, słuchać, śledzić, on pomagał w oznaczaniu, preparowaniu i przechowywaniu zdobytych okazów, posiadł znajomość właściwości gatunków rodzimego ptactwa, przyswoił sobie pod niezrównanem kierownictwem tajemnice hodowli. A jednak — ojciec przeznaczył mu zawód budowniczego. Kiedy bowiem najstarszy syn, Reinhold, studjował już w Jenie medycynę, niestać było pastora na utrzymywa-

nie i Alfreda w mieście uniwersyteckiem. Oddano go więc na naukę do pewnej firmy budowlanej w Altenburgu, dokąd odbywał z domu kilkugodzinne marsze pieszo. Przychodziło mu to z łatwością dzięki silnej budowie fizycznej, co podnoszę dla łatwiejszego zrozumienia olbrzymich trudów, jakie znieść miał w późniejszem życiu. Przypadek rozstrzygnął o jego losie i całej karjerze. Przypadek ten zjawił się razu pewnego w plebanji na Renthendorfie w osobie niejakiego barona Müllera, który wybierając się do Afryki w celu badania tamtejszej awifauny, odwiedził starego Brehma dla zebrania potrzebnych wskazówek. Poznawszy tu Alfreda, zapragnął, uderzony jego wiadomościami ornitologicznemi, zabrać go ze sobą w podróż jako wymarzonego pomocnika. Po długich naleganiach uzyskano zgodę ojca i tak Alfred, wówczas 18-letni młodzieniec, ku swej niepomiernej radości wyruszył w tę podróż egzotyczną, z której, wbrew rachubom, powrócił dopiero po 5 latach. Los się spełnił. Dnia 6 lipca 1847 stanęła na brzegu Czarnego Lądu stopa przyszłetwórcy „życia zwierząt". Przeżycia jego i przygody afrykańskie, wysiłki i niebezpieczeństwa, chwile entuzjazmu i rozczarowania, ale ponad wszystko objawy hartu ducha i ciała, odzwierciedla jego szczegółowy dziennik podróży, który był podstawą do napisania 3-tomowego dzieła pod tytułem: „Reiseskizzen aus Afrika" (Jena 1855). Dzieło to dziś trudno dostępne, ale kto ciekaw, znajdzie tę samą rzecz skróconą pod tytułem: „Kreuz und quer durch Nordostafrika", w nakładzie Reclama (1926).

W czasie tej pierwszej podróży afrykańskiej odbył Brehm dwukrotnie drogę tam i z powrotem z Egiptu, przez Nubię do Sudanu i dalej na południe, poza Chartum, w okolice już to Białego, już to Niebieskiego Nilu. Najpierw wspólnie z Müllerem, potem, gdy ten powrócił do Europy, sam, na koszt Müllera, który jednak nagle przestał przesyłać zasiłki, tak, że Brehm w głębi Sudanu znalazł się opuszczony, bez środków do życia. Jedynym przyjacielem, jaki mu osładzał straszne położenie, było zwierzę: oswojona lwica, „Baszida". Wystarczy przeczytać opis choćby tego jednego okresu z jego życia, aby poznać Brehma, jego żelazną wytrwałość, jego wiarę w siebie, jego samodzielność i ażeby się mniej dziwić owemu olbrzymiemu nakładowi pracy, jaką odkrywamy w jego spuściźnie, nietylko ze względu na jej objętość, ale także ze względu na jej oryginalność, stwarzającą epokę w sposobie pisania o zwierzętach. Do jakiego stopnia nie upadał na duchu, mimo przeciwności, niech świadczy taki choćby fakt, że zbiedzony, zgłodniały, chory na malarję, pozbawiony gotówki, a więc znajdując się w położeniu na pozór bez wyjścia, zdołał obić kupca ormiańskiego w jego własnym domu, za to, że ten ofiarował mu pożyczkę pieniężną na niemożliwych do przyjęcia warunkach. Ostatecznie wybawia go gubernator Sudanu, Turek, pożyczając mu większą sumę za gwarancją jedynie słownego przyrzeczenia zwrotu. I ten fakt świadczy, jak dalece Brehm umiał wzbudzać, u zupełnie nawet obcych ludzi, poszanowanie.


(Reprodukowano z wyd. „Das Brehmbuch", Berlin 1929, Brehm - Verlag).

W czasie pobytu w Afryce, przeżył Brehm bolesną tragedję. Po odjeździe Müllera przybył z domu jeden z braci Alfreda, Oskar, aby mu towarzyszyć w dalszej wyprawie. I oto, kąpiąc się w Nilu, utonął. Alfred pochował go i postawił mu pomnik w pustyni.

Kiedy wrócił do ojczyzny (1852) z mnóstwem nagromadzonego materjału przyrodniczego i transportem żywych zwierząt — przeznaczonych dla ogrodu zoologicznego w Berlinie — nie było już oczywiście mowy o dalszej nauce budownictwa. W latach więc następnych (1853—1856) studjuje nauki przyrodnicze na uniwersytetach w Jenie i we Wiedniu i uzyskuje stopień doktora filozofji.

Teraz dla odetchnięcia po natężającej nauce, wybrał się w podróż do Hiszpanji, gdzie brat jego Reinhold osiadł był jako lekarz w Madrycie. Poczyniwszy nowe spostrzeżenia faunistyczne, zamieszkał następnie w Lipsku i odtąd systematycznie już poświęcił się pracy pisarskiej. Zaprzyjaźnia się ze znakomitym przyrodnikiem i publicystą Rossmässlerem i zasila jego czasopismo: „Aus der Heimat", jakoteż z Ernestem Keilem, założycielem czasopisma „Gartenlaube" i artykułami swemi przyczynia się do niesłychanej popularności tego czasopisma. Nic też dziwnego, że Keil finansuje następnie podróż Brehma do Laponji. Po jej ukończeniu dojrzało pierwsze przyrodnicze dzieło Brehma, mianowicie „Das Leben der Vögel" (1861), z którego sam zawsze był dumny, twierdząc, że jest ono najlepsze z wszystkiego, co wydał w swem życiu. Pięknym ob-

jawem miłości i wdzięczności synowskiej jest przedmowa tej książki, poświęcona ojcu.

W tym czasie zakłada Alfred Brehm własne ognisko domowe, żeniąc się z Matyldą Reiz, zarazem zaś przyjmuje, dla zapewnienia swemu gospodarstwu stałego oparcia pieniężnego, posadę nauczyciela geografji i historji naturalnej w jednem z gimnazjów w Lipsku. Niebawem pojawia się następne poważne dzieło jego: „Die Tiere des Waldes“, napisane do spółki z Rossmässlerem, który opracował tom, poświęcony zwierzętom bezkręgowym.

Niespodzianie przyszła sposobność odbycia powtórnej wyprawy do Afryki, mianowicie do Abisynji. Odbył ją na wezwanie Ernesta II, księcia Koburg-Gotha, wspólnie z nim i z całym orszakiem znakomitych gości. I ta podróż, chociaż krótka, znalazła swój wyraz naukowy w dziele pod tytułem: „Ergebnisse einer Reise nach Habesch“ (1863).

Zwolna począł, dawno już powzięty zamiar, przybierać kształty realne. Ogrom nagromadzonej praktycznej wiedzy przyrodniczej, talent twórczy i niezmierna łatwość pisania, były to warunki, które złożyły się na urzeczywistnienie tego zamiaru. Wkrótce po powrocie z Abisynji, zostaje z Hermanem Meyerem, właścicielem zakładu bibljograficznego (wówczas Hildburghausen — później Lipsk) omówiony szczegółowo plan wielkiego dzieła o życiu zwierząt. W trakcie przygotowywania go do druku, zostaje Brehm powołany na stanowisko dyrektora ogrodu zoologicznego w Hamburgu (1863)[1]), stanowisko to opuszcza jednak już w następnym roku. W r. 1864 wychodzi pierwszy tom zamierzonego dzieła, pod tytułem: „Illustriertes Thierleben. Eine allgemeine Kunde des Thierreichs“. Pierwszy ten tom obejmował 696 stron i ozdobiony był pięknemi rycinami, wykonanemi już to według rysunków Rudolfa Kretschmera, już to według jego wskazówek. Artystę tego, który niemało przyczynił się do spopularyzowania nowego wydawnictwa, poznał Brehm w czasie wyprawy do Abisynji.

Pojawienie się dzieła Brehma, którego pierwsze wydanie, złożone z 6 tomów, zostało ukończone w r. 1869, stanowiło pewnego rodzaju epokę w rozpowszechnieniu wiadomości o świecie zwierzęcym w najszerszych warstwach społeczeństwa, najpierw niemieckiego, a potem, dzięki licznym przekładom i przeróbkom, społeczeństwa wszystkich narodów cywilizowanych. Pochód dzieła był triumfalny. Teraz, niezmordowany badacz i podróżnik, na kartach przez siebie skreślonych, obiegł w krótkim czasie całą kulę ziemską. Na czem polegał ten sukces? Na tem, że Brehm wziął się do rzeczy zupełnie inaczej, niż jego poprzednicy. Zarzucił przedewszystkiem metodę suchych, sztywnych opisów, przedstawiających zwierzę stylem jakby urzędowym, nieraz telegraficznym, na co Niemcy użyli dowcipnego określenia „Steckbriefsystem“. Opisy Brehma drgają życiem i dają złudzenie obrazów. Bo też życie zwierzęcia było głównym tematem jego autorskiej twórczości, jak to już sam tytuł nowego dzieła zwiastował. Przytem język jego był niesłychanie płynny i barwny i należał do wzorów niemieckiego stylu. Dzieło Brehma, roztaczające przed czytelnikiem urok przyrody i przesuwające przed jego oczyma wizerunki, zwyczaje i dziwy świata zwierzęcego w sposób interesujący i przystępny, wypełniło przepaść, istniejącą poprzednio pomiędzy nauką ścisłą, a społeczeństwem. On, wśród rzesz czytających, rozpowszechnił nietylko znajomość świata zwierzęcego, ale rozniecił dla niego sympatję w sposób dotąd niebywały.

Zarzucano Brehmowi i to w jego własnej ojczyźnie, że popadł w przesadę. że zwierzęta zbyt uszlachetnił. że przypisał im nawet zbliżony do ludzkiego sposób czucia, czy myślenia. Być może. Ale mimo tego, a może właśnie dlatego, dzieło to spełniło swe zadanie. Przemawiało bowiem znakomicie do wyobraźni czytelnika. Trzeba zresztą uwzględnić epokę, w jakiej pisał i zrozumieć porywającą go nietylko miłość do przyrody, w której dzięki genjalnemu darowi obserwacyjnemu odkrywał coraz nowe zjawiska, ale i potrzebę reakcji przeciw temu, co uważał za niedostateczne, lub błędne. Martwe zastąpił żywem. Cały świat pragnął porwać za sobą i pchnąć go w stepy, puszcze, lody północy i piaski południa i zawołać: „patrzcie! oto zwierzyniec boży! jaki piękny, jaki doskonały, jaki niepojęty!“ A że niepojęty, tego przecież nauka i dziś zaprzeczyć nie może.

Dalsze wydania „życia zwierząt“, drugie, trzecie i czwarte, coraz to rozszerzane i po śmierci Brehma uzupełniane, zyskały wiele, ale i straciły wiele. Dzięki współpracy szeregu uczonych, stało się to dzieło z wydawnictwa popularnego poważnym i niezastąpionym podręcznikiem. Ale za to utraciło z czasem wiele z tego charakterystycznego piętna, jakie stanowił niezrównany język Brehma. Opuszczono też w niem wiele poglądów, nie wytrzymujących może ścisłej krytyki naukowej — rzecz zrozumiała wobec ciągłego postępu tej gałęzi wiedzy, — ale poglądów właśnie najbardziej cechujących Brehma: jako wielkiego przyjaciela zwierząt.

Dopiero t. zw. jubileuszowe wydanie, dokonane w roku bieżącym w nakładzie Reclama w Lipsku, liczące 8 zgrabnych tomików[2]), a opracowane przez Karola Neumanna, przybrało znowu charakter zbliżony do najpierwszych wydań, przywrócono w niem wiele pierwotnych ustępów oryginalnych Brehmowskich, aby w miejsce rozrośniętego do 13 wielkich tomów podręcznika z IV wydania — dać publiczności ponownie książkę „do czytania“.

Jeden i drugi kierunek ma swą wartość i swą celowość.

Wróćmy do przerwanej biografji.

Po ukończeniu pierwszego wydania „życia zwierząt“ (1869), obejmuje Brehm kierownictwo słynnego akwarjum w Berlinie, stwarza tam rzeczy nadzwyczajne, ale

---

[1]) Z tego okresu pochodzi praca pod tytułem „Verzeichnis der lebenden Tiere des zoologischen Gartens“ (1863).

[2]) Ósmy tom tego wydania znajduje się właśnie pod prasą.

wreszcie w r. 1874 wycofuje się w zacisze domowe i odtąd już pracuje znowu jako człowiek niezależny.

W r. 1872 wydaje doskonałe dzieło: „Gefangene Vögel", potem wykańcza II wydanie „życia zwierząt", sam opracowując znowu lwią część wydawnictwa, gdy Taschenberg, znakomity entomolog opracował owady, a Oskar Schmidt zwierzęta najniższe. W pracy tej zużytkowuje nowe spostrzeżenia, zebrane w odbytej w r. 1876 podróży azjatyckiej (Stepy Kirgizkie — do Altaju) do której inicjatywę daje Otto Finsch, dyrektor Muzeum przyrodniczego w Bremie, a środków pieniężnych dostarczają instytucje i źródła prywatne. Wraz z Finschem opisał tę podróż w książce: „Auf Forscherfarth in Nord und Süd" (Stuttgart 1927).

Ostatnie dwie podróże myśliwsko-przyrodnicze odbył Brehm w towarzystwie możnego wielbiciela, jakim był austrjacki następca tronu, arcyksiążę Rudolf. Jedną w okolice dolnego Dunaju (1878), drugą do Hiszpanji i Portugalji (1879).

O wyprawie ornitologicznej nad Dunaj marzył arcyksiążę już dawno. „Nareszcie sposobność nadeszła" — pisze on w swem dziele: Jagden und Beobachtungen[3]) — „Brehm przybył do Wiednia!"

Istotnie Brehm wybrał się do Wiednia z cyklem wykładów — bo i wykładom publicznym poświęcał wiele uwagi i czasu — zarazem zaś z zamiarem rozstrzygnięcia pewnego zagadnienia z zakresu systematyki orłów. Potrzebnego materjału dostarczył mu właśnie arc. Rudolf z własnych i publicznych zbiorów. Gdy zaś równocześnie nadeszły z nad dolnego Dunaju pomyślne wiadomości o gnieżdżeniu się orłów i sępów (był to początek kwietnia), arc. Rudolf zdecydował wyprawę i zaprosił n nią Brehma.

„Decyzja zapadła tym razem szybko" — słowa arcyksięcia — „Trzeba było tylko spojrzeć na Brehma, tego człowieka o szerokich barach i spalonem od wichru obliczu, który nie lękał się zarówno wytężającej pracy przy biurku, jak trudów i niewygód, połączonych z badaniami przyrodniczemi w różnych częściach świata. Możność odbycia podobnej wyprawy w towarzystwie takiego Brehma wystarczała, ażeby się dłużej nie namyślać". Przytaczam te słowa dla charakterystyki Brehma i tego zaufania, jakie wzbudzała jego niezwykła indywidualność.

W czasie między tą podróżą, a następną, do Hiszpanji i Portugalji, spotkał Brehma cios bolesny. Wydając na świat najmłodszego synka, zmarła mu żona. Odtąd, przez pamięć dla ukochanej towarzyszki życia, datuje się Brehma kult dla róż.

Wyjeżdża wreszcie raz jeszcze z kraju. Tym razem do Ameryki. Ale już nie jako badacz i podróżnik, tylko jako prelegent (1883). Podpisawszy kontrakt, nakładający na niego dotkliwe odszkodowanie pieniężne na wypadek niedotrzymania umowy, nie mógł się cofnąć pomimo, że gdy nadeszła data wyjazdu, straszny gość zawitał do jego domu. Dyfterja. Wszystkie dzieci, w liczbie pięciorga, zachorowały. W Stanach Zjednoczonych doszła go wieść okrutna, że z tych pięciorga zmarł ów najmłodszy, najukochańszy synek. I ten zahartowany człowiek załamał się wtedy bezpowrotnie. Na domiar złego, w czasie tournée, nawiedzony został ponownie starą swą znajomą, malarją. Po ukończeniu z nadludzkim wysiłkiem odczytów, wrócił do domu posiwiałym przedwcześnie, zgrzybiałym, zużytym starcem. Dnia 11 listopada 1884, dotknięty nadto chorobą nerkową, zakończył życie. Pochowano go na cmentarzyku w Renthendorfie.

100-letnią rocznicę urodzin Alfreda Brehma obchodzono w Niemczech uroczyście i poświęcono jej mnóstwo wykładów i artykułów. Istniejące oddawna specjalne towarzystwo pod nazwą „Brehm-Gesellschaft" wydało też dla uczczenia tej rocznicy 2 dziełka: „Das Brehmbuch" i tożsamo w opracowaniu skróconem: „Brehms Leben" (1929, Brehm Verlag, Berlin). Na dziełko, ozdobione licznemi, doskonałemi ilustracjami, złożyły się prace szeregu uczonych. Towarzystwo założyło zarazem fundację, zapewniającą środki utrzymania żyjącym córkom Alfreda Brehma. W roku bieżącym wyszła także monografja: Tiervater Brehm, Seine Forschungsreisen, ein Gedenkblatt zum 100 Geburtstag, von Dr. Kurt Flöricke. Stuttgart. Kosmos. 1929.



[3]) Jagden und Beobachtungen, von Kronprinz Erzherzog Rudolf. Wiedeń, Künast. 1887.

SEWERYN KROGULSKI

Pół wieku!

(Dokończenie)

Tego samego roku wiosną odbywają się mniejsze próby myśliwskie w polu.

Żółtańce i Dziedziłów nie dopisały. W pierwszych: „z rana było bardzo szpetnie, i deszcz i zimno. Polowaliśmy trochę, ale mało było szczęścia". W drugich — nazajutrz — „Zwierza wielkiego cale nic nie było. Ptastwa różnego rozmaita rzecz; bo tak ślicznego i obfitego kraju, szukać po świecie trzeba...

Obiad jedliśmy w Kukizowie cudownie wesołem miejscu"... Po objeździe gospodarstwa polowano, ale także bez szczęścia.

Kilka dni później poluje król w okolicach Zborowa. „Myśmy się dziś ruszyli ze Złoczowa, polując aż tu. Szczęścia dosyć było: sarn i zajęcy sto-śmy naszczwali: dzień też był ciepły dosyć, choć pochmurny".

Wreszcie: "w Hucie nad Krynicą, gdzie się Bug poczyna" — Werhobuż niedaleko Sassowa. —

„Uszczwawszy przez wczorajszy dzień i dzisiejszy poranek koło Olejowa 20 sarn i wilka srogiego, wstąpiłem tu do Huty".

Na tem kończą się zapiski myśliwskie, zawarte w listach Sobieskiego. Jest tam jeszcze parę ustępów i powiedzeń charakterystycznych dla jego osoby, a mających do pewnego stopnia związek z naszym tematem — mówi autor — i przytacza je dla uzupełnienia całości.

Ale, acz porywająco Dr. Ziembicki omawia te dalsze szczegóły, to jednak wspomniana już konieczność wzbrania nam przyjemności zrecenzowania tych zajmujących fragmentów.

Zaczem opis tej wzorowej pracy historycznej zamykamy ostatecznie konkluzją prelegenta:

„Tyle z listów królewskich dało się wydobyć dla oświetlenia naszego przedmiotu. Jak widzieliśmy, sceny myśliwskie, w nich opisane, odbywają się wyłącznie na ukochanej przez niego tej połaci Ziemi Ojczystej, która była jego kolebką, która imiona Żółkwi, Złoczowa, Oleska i pamięcią bohaterskich przodków hartowała go w rycerskiem posłannictwie i której bronił zwycięsko. Dlatego też najdrobniejsze wspomnienia, Jego ręką nam przekazane, a z tą ziemią złączone, mają dla nas, Małopolan, urok szczególniejszy.

Z tego też powodu postać Jana III. uważałem za najgodniejszą przypomnienia przy takiej sposobności i przy takiej uroczystości jaką jest jubileusz Towarzystwa Łowieckiego, przez lat 50 działającego chlubnie na tej właśnie ziemi.

Postać Sobieskiego czczoną jest w narodzie przez wszystkie stany i wszystkie zawody. Myśliwi Małopolscy do tej czci mają jeden powód więcej".

* * *

Program pierwszego dnia uroczystości jubileuszowych zakończono odśpiewaniem „Hasła" Szopskiego przez chór męski „Lutni".

Dzień drugi — 17 czerwca — upływa: do południa na częściowem odbyciu zawodów strzeleckich, po południu na zwiedzaniu Muzeum im. Dzieduszyckich, a wieczorem w Hotelu Krakowskim wyczerpuje się do dna przy skromnej biesiadzie wspólnej uczestników Zjazdu.

Kolej na opis zawodów przyjdzie po ukończeniu strzelania. Co się tyczy punktu drugiego podkreślamy, że zwiedzających te wspaniałości, oprowadzał i objaśnień udzielał ordynat, Włodzimierz hr. Dzieduszycki w towarzystwie kustosza, prof. Jarosława Łomnickiego.

Ci z gości naszych, którzy po raz pierwszy zbiory te oglądali, nie mieli dość słów na wyrażenie swego podziwu i uznania dla zasług twórcy tego pomnikowego dzieła i dla pietyzmu, z jakiem ono jest pielęgnowane oraz uzupełniane.

Punkt trzeci porządku dziennego stanowiła wspólna **Wieczerza,** którą od początku do końca cechował podniosły nastrój i harmonijny objaw głębokiego zrozumienia myśliwskiego kultu, tkwiącego w duszy łowców, bez wzglzdu na ich hierarchję klasową. Dlatego też przemówienia, wielbiące zgodę, etykę, tężyznę woli i ciała, przemówienia, uderzające w strunę umiłowania ziemi ojczystej i jej przyrody — witane były entuzjastycznie.

Wśród licznych wyróżniały się:

Przemówienie powitalne prezesa M. T. Ł., J. hr. Bielskiego, odpowiedź Juljana Ejsmonda w imieniu Rządu, przemówienie drgające uczuciem i siłą patrjotycznego słowa znakomitego pisarza, Dr. Stanisława Zaborowskiego, — toast wierszowany Seweryna Krogulskiego, poświęcony Kazimierzowi Sichulskiemu, twórcy obrazu św. Huberta w naszej kaplicy, — toast Dr. Aleksandra Małaczyńskiego na cześć jen. Jędrzejewskiego, obrońcy Lwowa, przemówienie delegata dzielnicy Poznańskiej, Tadeusza Metziga, — patrjotyczne przemówienie Bohdana Krzysztofowicza na tle obrony Lwowa, w której myśliwi nasi wybitnie się zasłużyli.

Tradycyjny w Polsce toast:

„Kochajmy się!"

wygłosił z patosem przewodniczący Komitetu Jubileuszowego, Albert Mniszek*).

Końcowy ustęp tego toastu brzmi dosłownie:

„Niech ten skromny stół dzisiejszy będzie symbolem braterstwa polskich myśliwych, niech będzie pomostem do podania sobie rąk, zadzierżgnięcia przyjaznych stosunków i wzajemnej serdeczności. Jak jedną i nieśmiertelną jest Polska, tak jednem i nieśmiertelnem jest łowiectwo polskie..., jak nieśmiertelna czarowna baśń puszczy! „Kochajmy się bracia myśliwi!"

Poza tem szczere wybuchy wesołości budziły nadprogramowe przemówienia okolicznościowe, pełne myśliwskiego humoru, akcentowane tuszami orkiestry i improwizowanemi chórami.

---

*) Jedyne przemówienie, które na żądanie uczestników biesiady, wydrukował „Łowiec" w zeszycie nr. 7—8, 1926 r.

świtało już kiedy ostatnie grupy rozbawionych myśliwych opuszczały ten udatnie urządzony i spolowany miot, w którym nikt nie pudłował, unosząc zeń sporą garść wrażeń, zarówno poważnych jak i wesołych.

* * *

Zawody strzeleckie,

rozpoczęte dnia 17, skończyły się 18 czerwca 1926.

Wyniki osiągnięte na popisach są następujące:

Dzień pierwszy — 17 czerwca:

I strzelanie z pistoletów na 25 m. Pierwszy: por. Borzemski, drugi por. J. Podoski, trzeci E. Barański.

II strzelanie do tarcz stałych na 100 kroków Pierwszy: Eust. Barański, drugi kadet Gutowski, trzeci Jan Drohojowski.

III strzelanie na 300 kroków przez lunetę. Pierwszy: St. Pieńczykowski, drugi inż. Stefan Reichard trzeci Eustachy Barański.

IV strzelanie z broni małokalibrowej na 50 kroków. Pierwszy: Jan Drohojowski, drugi por. Podoski, trzeci Tad. Barański.

Dzień 18 czerwca, strzelanie:

V do dzika ruchomego na 100 kroków. Pierwszy: Jan Onyszkiewicz, drugi por. Podoski, trzeci major Misiński, czwarty Tadeusz Barański.

VI do ruchomego dzika w dublecie na 100 kroków. Pierwszy: E. Barański, drugi por. Borzemski, trzeci Adam Kapliński, czwarty Tad. Kownacki.

VII do ruchomego lisa na 100 kroków. Pierwszy: Jan Onyszkiewicz, drugi E. Barański, trzeci Tadeusz Kownacki.

VIII strzelanie senjorów do ruchomego dzika na 100 kroków, budzi zaciekawienie, gdyż stają doń weterani łowieccy, uczestnicy w pierwszych 10-ciu Zjazdach. Pierwszy: Kazimierz Marmaross, drugi Stan. Pieńczykowski, trzeci, po rozgrywce z pułk. A. Knappem — Albert Mniszek.

IX strzelanie junjorów do ruchomego dzika na 100 kroków. Pierwszy: Witold Daniecki, drugi Antoni Dunin, trzeci Mieczysław Szuwalski.

X strzelanie śrutem do rzutków. Pierwszy: J. Drohojowski, drugi Dr. Ruczka, trzeci Aleksander Ostrowski.

XI o „Nagrodę kniei", ufundowanej przez Adama Kaplińskiego — dublet do lisa. Zwycięzca Eust. Barański.

XII strzelanie zwycięzców o mistrzostwo. Nagroda ufundowana przez Marjana Jaroszyńskiego. Zdobywą ją po rozgrywce z E. Barańskim — Jan Drohojowski.

XIII strzelanie na 100 kroków do ruchomego dzika. „Nagrodę żywca" bierze Jan Onyszkiewicz.

Cennych nagród dostarczyli prócz wyżej już wymienionych: „Karów" (Marmoross), Tow. myśl. Nemrod, W. Kellerman, jen. Sikorski, Komitet strzelnicowy, Mał. Sp. myśl., prezes J. hr. Bielski, Kasyno Narodowe, Tow. myśl. im. św. Huberta we Lwowie, Lisowickie Tow. myśliwskie, A. Jakubowicz, Fabryka porcelany Pacyków, „Rozhurcze" (Barańscy), Centr. Związ. Pol. Stow. Łowieckich, H. Prek, Tomisławowa Jędrzejowiczowa, Pol. Tow. Łow. w Warszawie, Stefan hr. Badeni, Tow. myśl. Ponowa, Władysław Garapich, Tow. myśl. Turza Wielka, Eust. Barański, C. Czarkowski-Golejewski, Firma E. Dmytrach, Inż Schiller, wojewoda Garapich, Ordynacja Łańcucka, Inż Reichard i M. T. Ł.

Po rozdaniu nagród przemówił do zebranych prezes J. hr. Bielski, zwracając uwagę na fakt, że „święto nasze podwójną stanowi rocznicę, gdyż Zjazd obecny był 25-tym z rzędu a wypadł w dniu Złotych Godów Towarzystwa".

Na tem wyczerpany został program jubileuszowego obchodu, który myśliwym naszym niemało górnych przyniósł wrażeń.

Do miłych wspomnień z owej trzydniówki przybywa jeszcze nieobjęte programem przyjęcie w gościnnych progach pałacu J. hr. Bielskiego. Na obiad zaproszeni byli dostojni goście i członkowie Wydziału M. T. Ł., a na raut liczniejsze grono uczestników Zjazdu*).

I jeszcze jedno. Odżałować nie można, że sławny nasz przyrodnik, myśliwy wysokiego stylu, wielki podróżnik i pisarz Jan Sztolcman nie mógł być — jak tego pragnął — świadkiem całej uroczystości. Był tylko na poświęceniu ołtarza św. Huberta, poczem zaraz odjechał ze Lwowa. Z tej racji ominęła Małopolan okazja do wynurzenia należnego hołdu dzielnemu Mężowi za Jego niepomierne dla łowiectwa zasługi*).

Szkoda także, że Wystawa Myśliwska, która miała na celu uświetnić tę chwilę dziejową gospodarczym dorobkiem w łowiectwie, uległa jednorocznej zwłoce. Lecz nie zawiniło w tem Towarzystwo, a jeno opieszałość wystawców.

Miłą pamiątkę dla myśliwych stanowi jubileuszowe wydanie „Łowca", poprzedzające nasz Wielki Dzień.

Ze względu na chwilę przełomową i aktualność, należy przytoczyć tu zeszytu tego treść: Seweryn Krogulski: Kult św. Huberta w Polsce. — Juljan Ejsmond: Demagogja a demokratyzacja Łowiectwa. — Albert Mniszek: Dzień myśliwego w Karpatach. — Aleksander Przedrzymirski: Zastępca św. Huberta na ziemi. — A. Mniszek: W szuwarach. — C. C. G.: Z Polesia. — Zofja Gostomska: Dawne lecznictwo myśliwskie. — St. W. Orski: Myślistwo, łowiectwo a łgarstwo. — Adam Rzewuski: Z mgły złotej przeszłości pierwszych wrażeń łowieckich.

---

*) Odbyło się to przyjęcie dnia 16 czerwca po skończeniu Akademji.

*) Zmarł dnia 29 kwietnia 1928 r.

Ryciny: Obraz św. Huberta. — Włodzimierz hr. Dzieduszycki. — Grupa Wydziału M. T. Ł.

* * *

Oto historja naszego Towarzystwa z ery 1876—1926. Zamykamy ją z uczuciem dumy, uwagą, że Towarzystwo to, wśród zmiennych warunków swego istnienia, bite ponadto młotem losu wojny — potrafiło nietylko wytrwać niezłomnie na swem stanowisku, lecz i żeglować na najwyższej fali postępu łowieckich zagadnień.

Umiało ono zawsze stać na wysokości ideowego zadania swego i silnie dzierżyć w ręku sztandar myśliwski, nad którym unosi się nimb tylowiekowej tradycji, wspaniałej przeszłości polskiego łowiectwa.

K O N I E C.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Dokończenie)

Przeważnie łowili go w doły. Nie należy jednakowoż sądzić, aby bawół dał się tak łatwo schwytać tym, jakoby prymitywnym sposobem. Przy swej nadzwyczajnej ostrożności — mimo najmisterniej urządzonego labiryntu przejść wśród zarośli, które prowadzą do obsianych pól — zawsze zatrzyma się wczas przed zamaskowanym dołem, bo nos go o tem ostrzeże. Różnica między temperaturą wewnątrz, a tą, jaka jest na powierzchni, skutkiem czego woń wilgoci stamtąd się wydobywa — zdradza to miejsce niebezpieczne. Dopiero w czasie deszczów, zwłaszcza podczas nawalnic — i to w noce, które go wywabiają na odwiedzenie niestrzeżonych wtenczas ogrodów, staje się ofiarą własnej przezorności.

Raz nawet miałem sposobność oglądać złowione w ten sposób bawoły — w kraju Angonich. W nocy szalał straszliwy huragan z błyskawicami, piorunami, z rykiem lwów i wyciem hien — istny sabat czarownic. Miałem wtenczas swój obóz bardzo blisko wsi, ale już w lesie. Jak się tej nocy tam czułem — dość powiedzieć — że mi dwukrotnie namiot zwaliło; nie mogąc go już potem ustawić, z mokrą płachtą na głowie, przy latarni (bo ognie pogasły a ludzie po chatach się rozbiegli) do rana tak przesiedziałem, nie zmróżywszy oczywiście oka.

Można sobie wyobrazić, w jakim sosie byłem nazajutrz, mając wszystkie tobołki przemoczone — a tu lecą ze wsi moi chłopcy z radosnym okrzykiem: są bawoły!

— Cóż mię to może obchodzić?...

— Muzungu! — bawoły wpadły do „buny“...

— Aha!... Dopiero zrozumiałem ich podniecenie. We wsi była radość ogólna.

Z siedmiu dołów, które zaraz ze wschodem słońca zrewidowano — trzy były „pełne“. W dwóch — po dwa bawoły, w jednym dzik. Wspaniały połów jak na jedną noc. Poszedłem go oglądnąć na miejscu — i z ciekawości, a także na prośbę naczelnika wsi, ażeby zastrzelić — żyjące jeszcze zwierzęta.

Tylko dwie sztuki były przy życiu — dzik i młody, może dwuletni bawół. Towarzysz tego ostatniego, który go poprzedził w upadku do wspólnego dołu, miał kark złamany; również w ten sam sposób musiały zginąć oba bawoły z łapki drugiej. Na tych dwóch nieboszczykach żerował jakiś drapieżca, bo miały wyżarte miejsca na grzbiecie i na pośladkach.

Przy oględzinach dołu z żywym bawołem, miałem małe przedstawienie, jak wygląda rozjuszone to zwierzę. Wściekłość biła ze ślepiów, które mało z orbit nie wyskoczyły: pragnienie zemsty wyczuwać mogłeś z szalonych wysiłków, aby wyskoczyć ku nam, kiedy tylko zbliżaliśmy się do dołu; mogłeś zrozumieć rozpacz ubezwładnionego, że nie może sprzedać swego życia tak, jak przystało na bawoła.

— — — — — — — — — — — — —

Trop bawoli rozpoznać łatwo, nie ma bowiem innego przeżuwacza w Afryce — z wyjątkiem żyrafy — któryby pozostawił tak wielki odcisk racic — jak on. Odcisk ten rysuje się widocznie nawet na twardym gruncie, z powodu ciężaru autora. Wpada on w oczy myśliwemu nawet pośród setek innych tropów wielkich antylop, przez swoją formę zaokrągloną, które nieraz przy niezupełnym rysunku — robią wrażenie odcisków kopyt końskich.

Tropienie jego, przedewszystkiem z tego powodu jest ułatwione, że pozostawia on po sobie obfity pomiot, który dobrego tropiciela prowadzi jak po sznurku.

Ma on także swoje wybiegi, aby zmylić prześladowcę. W wędrówkach swoich — posuwając się zazwyczaj wzdłuż wód i strumieni — nie ominie sposobności, aby ich nie przekroczyć od czasu do czasu, a często robi długie spacery środkiem koryta — zacierając w ten sposób ślady swego pochodu.

Opowiadali murzyni, że manewr ten, obliczony jest szczególnie na taktykę lwów, które potrafią iść za jego tropem i dzień — i dwa, byle go dopaść w stosownem miejscu.

Biedny bawół! — zdobywa się na fintę, jak na jego marną inteligencję — genialną, ale nic nie wie o swojej właściwości, która go zdradza niezawodnie — t. j. silna jego woń. Nawet myśliwy-Europejczyk, gdy się nauczy robić użytek ze swego zmysłu powonienia — zdoła go wyczuć na znaczną odległość; cóż dopiero lew.

Poza lwem — oczywiście i człowiekiem — ma bawół jeszcze jednego nieprzyjaciela, z którym w pewnych okolicznościach liczyć się musi — krokodyla.

Że krokodyl może porwać cielę, że odważy się zaatakować (naturalnie w wodzie) wyrośnięte zwierzę, nawet je poważnie pokaleczyć — w to wierzyć mogłem, ale wprost nie do wiary wydawało mi się, ażeby w zapasach z silnym bawołem mógł odnieść zwycięstwo. Nie mam też na myśli takiej sytuacji, kiedy płynącego przypadkowo rzeką bawoła opadnie kilka lub kilkanaście tych gadów — ale wypadek przychwycenia pijącego wodę starego osobnika przez krokodyla i wciągnięcia go w głębinę.

A przecież później przestałem wątpić, gdym między setkami tych jaszczurów o średnich wymiarach — odkrył egzemplarze — sześć lub więcej metrów długości. Szczególnie w miejscach, gdzie Szira przepływa przez step „Elephant-marshes" — była ich moc nadzwyczajna.

Naoczne stwierdzenie egzystencji takich potworów pomogło mi do zrozumienia innego zjawiska, jakie mię podczas łowów na wspomnianym terenie uderzyło. Chodząc za bawołami, prawie nigdy nie widziałem ich tropów nad brzegiem rzeki. Piły z bajorów błotnistych śmierdzącą niekiedy wodę, bo często zanieczyszczoną ich własnemi odchodami. Sziry, dokąd ich przypędziła posucha — jakby się obawiały.

O wypadku zmagania się krokodyla z bawołem, opowiadał mi królik Makalolów — Malauri, naoczny świadek tej walki. Opowiadał tę historję z takiemi szczegółami i tak mądrze i przekonywująco, żem wierzyć mu musiał, tembardziej, że jak na Kafra — był człowiekiem niepospolitym i wolnym od wady przechwalania się, jak to nieraz się spotykało u podobnych, czarnych dygnitarzy.

Było to na Szirze, podczas podróży łodzią w górę rzeki. Mijając zakręt brzegu, gdzie ich silniejszy prąd zmuszał do powolniejszego tempa — ujrzeli niedaleko taki obrazek: ogromny krokodyl, aż po grzbiet z wody wynurzony, trzymał za mordę tęgiego bawoła, który przedniemi nogami w ziemię przybrzeżną wbity — usiłował wyrwać się z paszczy gada.

Kilka rozpaczliwych szarpnięć i kopnięć tylnemi nogami — nie zmieniły położenia. Zaledwie odchylił się tułów bawoli od zwierciadła wody — już wracał tam, gdzie był — a potem chwila zupełnego bezruchu po obu stronach, że — jak się wyrażał opowiadający — miało się wrażenie, że obaj są martwi.

Za występem brzegu schowani — czekali podróżnicy, aż przyjdzie do jakiegoś decydującego zwrotu i będą mogli odpędziwszy krokodyla — rozprawić się z bawołem.

Gdy jednak nic w tym rodzaju nie następowało — tylko głowa bawola coraz bardziej ku wodzie chylić się poczęła, a równocześnie krokodyl coraz widoczniej w nią się zapada — wypadli z łodzi na widownię i krzykiem i biciem wiosłami o wodę — walkę przerwali.

Krokodyl cofnął się w głąb rzeki, zaś bawół — wydając jakieś niesamowite jęki — do nadbrzeżnych zarośli. Tam też został przez Malawi'ego zastrzelony.

Gdym się zapytał, jakie rany zadał mu krokodyl i czy bawół — gdyby go nie zastrzelono — mógłby się jeszcze wylizać, uśmiechnął się jakby z pobłażaniem, żem nie potrafił tak jasnej dla niego ocenić sytuacji.

— Kangremu! — jak mógł żyć, kiedy mu pogruchotał kości nosowe, a dolną szczękę naderwał tak, że już tylko wisiała na samej skórze!...

Bawół — jak i inne przeżuwacze żyjące w skupieniach — narażony jest na straszliwe ataki rozmaitych owadów, z których wymienię najpospolitsze — jak np.: muchy zwykłe, tse-tse, gzy i kleszcze, nie wyłączając moskitów, przed któremi nie znajduje nigdzie spokojnej ostoi. Może to wpływa na jego niespokojne usposobienie, zmuszając go do ciągłego ruchu — z miejsca na miejsce.

Jakby niedość tej udręki z zewnątrz — ma on jeszcze inne utrapienia z wewnątrz — wywołane przez pasorzyty.

Jednym z takich, którego ślady w mięsie bawolem sam i w samą porę odkryłem, to tasiemiec. Podaję ten fakt czytelnikowi tem chętniej, że chciałbym przestrzec przyszłych myśliwych-białych przed spożywaniem zwierzyny w krajach egzotycznych — zanim osobiście jej nie skontrolowali.

Zdarzyło się, że mając raz mięso bawole, które mi się wydało zbyt łykowatem — chciałem je zamienić na „wędlinę", t. j. w cienkich pasach podwędzić i podsuszyć. Ponieważ jadałem ją na surowo, więc, aby jak najwcześniej ją sporządzić — sam się zabrałem do roboty.

I jakież było moje zdziwienie, gdy w czasie krajania polędwicy, zaczęły wypadać z pod noża białe spłaszczone kulki, które po bliższem oglądnięciu, okazały się pęcherzykami o płynnej zawartości, bardzo podobne do wągrów u świni domowej.

Oczywiście mięsa tego już nie jadłem, chociaż było upieczone; murzyni za to użyli sobie na niem, mało, albo wcale nie zwracając uwagi na ten niebezpieczny mięsny dodatek. Dalsze poszukiwania okazały, że pęcherzyki znajdowały się tylko między zwojami mięśniowemi grzbietu i pośladków.

Z ostrożności robiłem później oględziny mięsa na każdej zabitej sztuce, którą chciałem mieć dla własnej kuchni. Znachodziłem takie wągry jeszcze u kozła wodnego i antylopy krowiej, ale zarażone temi pasorzytami, były tylko strzelane na otwartym stepie. U osobników tych samych gatunków, żyjących w górach i lasach — wągrów takich nie znalazłem.

Przypuszczam, że znaleziony zarodek, pochodził od tasiemca „taenia saginata" — występującego u naszego bydła z powodu picia zarażonej wody.

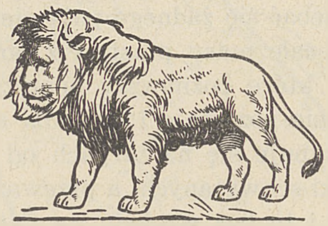
* * *

Jakkolwiek dość wcześnie, bo już w r. 1896, z rozporządzenia ówczesnego Wysokiego Komisarza, Sir H. H. Johnstona, określono step „Elephant-marshes", jako rezerwat — tylko niedobitki bawołów plątały się już po

stepie. Zaraza, która w r. 1892 przeszła tędy, porobiła wśród przeżuwaczy większych gatunków, a szczególniej między bawołami, szkody nie do odrobienia. Zaraza ta przeszła w niszczycielskim swym pochodzie całą międzyzwrotnikową Afrykę, zaścielając tysięcznemi trupami bawolemi — sawanny, stepy i lasy. Jeszcze dziesięć lat później znajdowali podróżnicy afrykańscy tam — gdzie dawniej liczne trzody bawołów ożywiały krajobraz — pustki; tylko setki wybielonych od słońca czaszek rozlicznych przeżuwaczy świadczyły, jak tu przed niedawnemi jeszcze laty — było inaczej.

Dzięki ochronie, jaką późniejsze władze kolonjalne otoczyły wszelką zwierzynę, a w szczególności bawoła, liczba ich znowu zaczyna wzrastać; do takiego jednak stanu, jaki istniał, chociażby przed wybuchem zarazy, nie dojdzie już nigdy.

Zresztą bawół należy do tych zwierząt, nad któremi napisała, postępująca w głąb Afryki cywilizacja — wyrok: morituri.



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

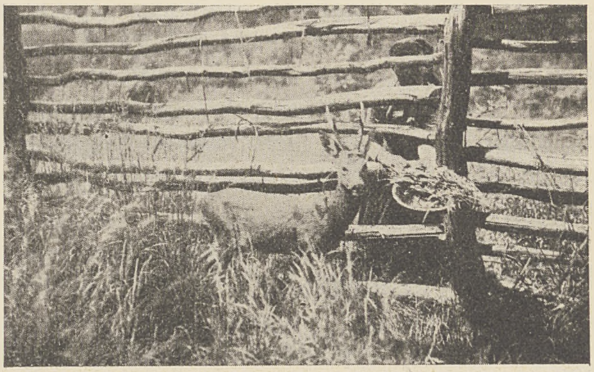
O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie

(Dokończenie)

Jednoroczny popędliwy Maciuś, dar Haliny Starskiej z Kolbuszowej, 3. V. 1928 r. Trzyletni Witek, dar insp. Gauzego, przysłany z Bystrej 19. VIII. 1928 r. Półtoraroczny Franuś, dar leśniczego Pichura Adama ze Śmietnicy, 17. IV. 1928 r. Piąty to jednoroczny rogacz jest darem inż. Bittnera z Krakowa, 14. I. 1929 r. Sarny: jednoroczna dar Buszczyńskiego z Górki Narodowej, 5. X. 1928. Dwuletnia, zakupiona 10. V. 1927 r., za 60 zł. u A. Wimmera w Niepołomicach. Dwuletnia, zakupiona 24. III. 1927, za 100 zł. u Michała Prokopa w Grybowie. Sarny mnożyły się w Zwierzyńcu dwukrotnie. Wspomnieć tu potrzeba, że wielki sadysta rogacz-Maciuś, zakłuł rogami w lecie 1928 r., sarnę-Magdusię, a niebawem drugą, co znalazło nawet echo w prasie krakowskiej.

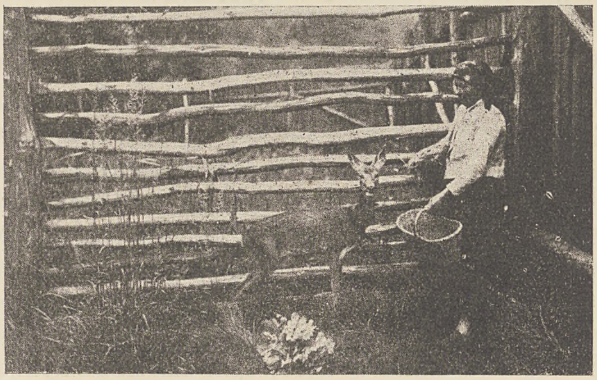
Jeleń i sarny otrzymują jako pokarm gałęzie różnych drzew, jak: iwina, osika, dębina, buczyna, spożywają też ostrężynę, jednak za przysmak uważają gałęzie leszczyny. Nadto dostają żołędzie, koniczynę, wykę z owsem na zielono, ziarno owsa i pszenicy, buraki i chleb. Dla wygody mają w korytkach lizawki z gliny zmieszanej z solą, anyżem lub kminkiem dla smaku, oraz stale świeżą wodę.

Dwie zwinne wiewiórki, czarna i czerwonawa, spożywające orzechy laskowe, buczynę, szyszki drzew szpilkowych, chleb i owoce. Jedną ofiarował bezimienny, drugą schwytał strażnik w Lesie Wolskim.



Napastliwy sarniuk „Maciuś"

Sześć sztuk gołębi pocztowych, żywionych drobną kukurużą lub grochem, dar Andrzeja Gardulskiego z Wojsławia, 22. VI. 1927 r. Jedenaście dzikich kaczek, z tego jeden kaczor zakupiony w Kolegjum OO. Pijarów w Rakowicach, 12. VII. 1927 r., cztery kaczki wylęgły się w bażantarni z jaj podarowanych przez A. Koziarza, 15 VI. 1928 r., zaś cztery kaczki i dwa kaczory ofiarował konsul Wojciech Marchwicki, 7. VII. 1928 r., w tem kaczor Cayuga z południowej Ameryki o szmaragdowo - czarnych, licznie mieniących piórach, ofiarowany 19. XI. 1928 roku.



Kochana sarenka

Dwie dzikie gęsi: gęś karlica (Anser minutus) zakupiona na wystawie drobiu w Krakowie, 9. XII. 1927 r., jest bardzo towarzyska, a zarazem nieufna jak wszystkie dzikie gęsi, chodzi wolno po bażantarni razem z gęsią posiewnicą (Anser segetum), którą darował prof. Karol Łukaszewicz z Krakowa.

Kaczki i gęsi oprócz pożywienia na zarybionym stawku, oraz specjalnie zbieranych ślimaków, otrzymują jako dzienną rację 1 kg rozparzonego jęczmienia i 2 kg ugotowanych ziemniaków, posypanych ospą.

Para czarnych bocianów, zamyślonych o krewniakach,

którzy dawno przenieśli się w strony cieplejsze. Dzienne ich wyżywienie to około 40 żab lub rybek i 1 kg koniny. Piękne te ptaki darował prof. Ludwik Krajewski z Jasła, 6. VIII. 1928 r.

Sześć sztuk pawi (cztery koguty, dwie kury) z tego trzy koguty i kurę ofiarowała Akademja Umiejętności (inż. Przesiwo), 9. V. 1928 r., zaś jednego koguta z kurą nabyto w Kol. OO. Pijarów, 1. VI. 1927 r. Przepiękne te i dumne jak majestat ptaki, otrzymują dziennie 3 kg rozparzonego jęczmienia i ugotowanych ziemniaków.

Dziesięć sztuk synogarlic, nawołujących bezustannie „Cuuuukru"...:

2 (para) zakupione w Kol. OO. Pijarów, 27. IX. 1927.

1 zakupiona u ptasznika Budzińskiego z Podgórza za 5 zł., 19. V. 1928 r.

1 dar p. Marji Kasprzykówny z Krakowa-Dębniki, 24. V. 1928 r.

2 (para) dar Siwińskiej z Krakowa, 14. IX. 1928 r.

2 (para) wylęgły się w bażantarni, 15. VII. 1928 r.

2 (para) wylęgły się w bażantarni, 3. VIII. 1928 r.

Ptaki te spotrzebowują do 6 kg siemienia konopnego i pewną ilość drobnego pośladu miesięcznie.

Kuropatwa wylęgła się z jajka zamieszanego między jaja bażancie i chodzi wolno z bażantami.

Wreszcie gady i płazy krajowe: żółw błotny, padalec, salamandra i t. p., ofiarowane do zwierzyńca, są narazie w przechowaniu i opiece ofiarodawcy t. j. Instytutu Zoologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Spis powyższy wykazujący około 90% darów w okazach, jest widomym znakiem i miarą zainteresowania się społeczeństwa Zwierzyńcem i rokuje instytucji na przyszłość trwałe podwaliny egzystencji.

Wszystkie okazy czują się wspaniale, dobrze wyglądają i są wesołe. Mają zapewnioną opiekę nietylko w dzień ale i w nocy, w formie dyżurów nocnych, oraz nadzwyczaj łagodne obchodzenie się. Największą jednak wagę kładzie kierownictwo na dobór pożywienia i punktualne odżywianie zwierząt, które odbywa się rano, w południe i wieczór, na odgłos dzwonka umieszczonego na wysokiej dzwonnicy, a znanego zwierzętom. Kiedy bowiem rozdźwięczy się po całej kotlince, idąc echem w las, wnet biegną ze wszech stron bażanty, nawet te, które żyją swobodnie w lesie; tam zaś powolnym kołyszącym chodem ciągną sznurem dzikie kaczki, za niemi szare, dzikie gęsi, tu zaś pędem gonią sarenki na miejsce podawanej karmy. Znają one doskonale swego karmiciela i spokojnie przystępują do biesiady.

Klatki są przestronne, wygodne i higjeniczne, umożliwiające dopływ powietrza i światła, dające swobodę ruchu i spełniania funkcyj naturalnych, jak grzebanie, rycie, czochranie się etc. Sporządzone są z drzewa, żelaza lub siatki drucianej. Również zagrody dla sarn są obszerne i obficie zarośnięte trawą, z pojedyńczemi schronami w kształcie parasola, okapu lub czworoboku, ustawionemi na słupach dębowych, niekorowanych i pokrytych słomą. Wszystko o wyglądzie estetycznym, dostosowanym jak najbardziej do otoczenia. Nic też dziwnego, że przy powyższej opiece i wygodach, zbliżających pobyt w niewoli do ideału wolności, śmiertelność w Zwierzyńcu jest pomimo różnego wieku okazów — znikoma.

Koszta utrzymania bażantarni, nie biorąc pod uwagę reparacyj budynków, ogrodzenia, żywności dostarczanej z własnego lasu, pól i ogródków, oraz wydatków na lekarstwa, a z wliczeniem tu dwóch dozorców — wynosi około 400 zł. miesięcznie.

* * *

Po całym parku rozbrzmiewa jeden radosny śpiew ptactwa, o którego sprowadzenie i rozmnożenie dba kierownictwo najusilniej, przez rozwieszanie sztucznych gniazd dziupłowych i wiązanie gałązek w zaroślach dla ułatwienia budowy.

W porze zimowej, co rok oblewa się gałązki niektórych drzewek specjalną mieszanką z łoju wołowego, suszonego mielonego mięsa, tartej bułki, siemienia konopnego i innych, aby w ten sposób uratować od śmierci głodowej bezsilne skrzydlaki, które pod powłoką śnieżną nie mogą dogrzebać się żadnego pożywienia. W ten sposób zwabia się całe masy ptastwa z pobliskich lasków włościańskich, które poznawszy opatrzność czuwającą nad niem, chętnie pozostaje i gnieździ się tutaj. W zimie nadto wykupuje się na targach od niesumiennych ptaszników setki schwytanych, a przeważnie zmizerowanych ptaszków i to bez względu na gatunek, które do wiosny pozostają w ptaszarni, a dopiero z nastaniem ciepłych dni słonecznych wypuszczane zostają na wolność do parku.

Znacznie pomnożona w ten sposób ilość ptaszków oddaje wielką przysługę, tępiąc owady-szkodniki. Ptastwo to jest nadto ozdobą parku nietylko z uwagi na swe kolorowe upierzenie, lecz także na miłe głosy, które rozweselają monotonję lasu i nadają mu cechy objektu zamieszkałego.

W długie ciepłe wieczory letnie, gdy cisza bezwładnie zapanuje nad różnemi uroczemi zakątkami parku i lasu, słyszy się czarujący głos słowika, który smętnym tonem zagląda do dusz ludzkich, lub wlewa do niej pełną czarę szczęścia i radości. Uczucie niezwykłego zadowolenia ogarnia wrażliwą i czułą duszę miłośnika przyrody, gdy słyszy choralny szczebiot dziękczynnego hymnu ku chwale Bożej.

* * *

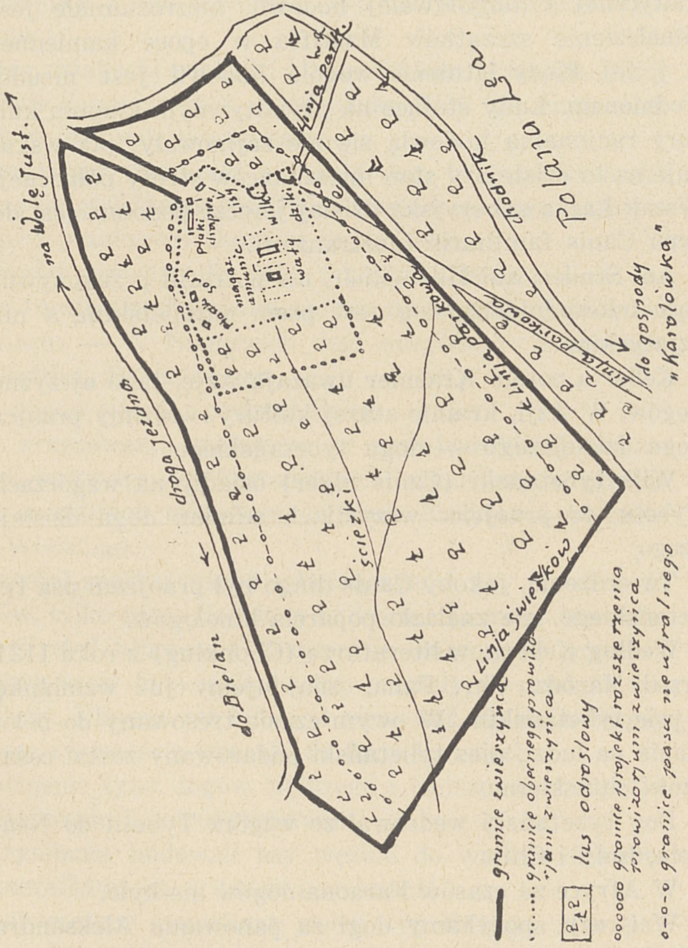
Dotychczasowy rejestr okazów jest wcale poważny. Ostatnio sprawa stworzenia miejskiego zoologu ruszyła znacznie z miejsca. Krakowski Oddział Tow. Przyrodników im. Kopernika, gorąco zajął się tą sprawą, wybierając z grona swych członków specjalną Komisję, złożoną z profesorów uniwersytetu, asystentów i przyrodników krakowskich, której polecono opracować projekt rozbudowy istniejącego zaczątku Zwierzyńca.

Do Komisji tej weszli:

1. Prof. Dr. Michał Siedlecki
2. „ „ Henryk Hoyer
3. „ „ S. Sokołowski

4. „ „ Wł. Szafer
5. Inż. Wincenty Wobr
6. Prof. Michalski, delegat Kuratorjum
7. „ Karol Łukaszewicz
8. Dr. Zygmunt Kołodziejski
9. „ Józef Fudakowski
10. „ Jan Zaćwilichowski
11. „ Kazimierz Maślankiewicz.

Zajęcie się sprawą Zwierzyńca przez tak wybitne osobistości na polu nauki, daje rękojmię, że obecny Zwierzyniec nie będzie jak dwa poprzednie zjawiskiem sezo-



nowem, ale otrzyma trwałe podstawy i przez długi szereg dziesiątek lat będzie chlubą nauki ojczystej, a tem samem najmilszą zapłatą dla tych wszystkich, którzy nie szczędzili pracy ani trudu, ani własnych środków materjalnych w najcięższym okresie t. j. w czasie rozbudowy Zwierzyńca.

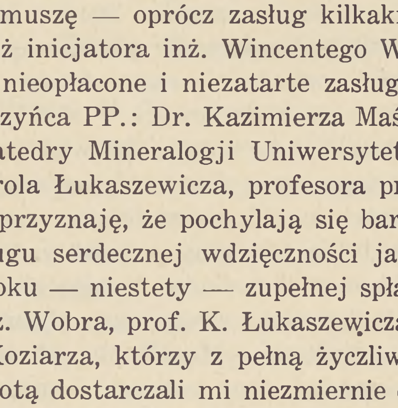
Po odbyciu kilku posiedzeń, oraz urządzeniu kilku wycieczek do Lasu Wolskiego, celem zbadania miejscowych warunków, wydelegowała Komisja swego prezesa prof. dr. Michała Siedleckiego, dyrektora Instytutu Zoologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, który udał się wraz z prezesem Tow. Przyrodników prof. dr. Estreicherem do p. prezydenta miasta inż. Rollego, który po rozpatrzeniu przedstawionej sprawy, przyrzekł wydatną pomoc w formie stałej dotacji gminy miasta w kwocie 1000 zł. miesięcznie, płatnej od 1 kwietnia 1929 r., oraz w formie upiększania roślinnej szaty Zwierzyńca przez Kierownictwo Parku, oraz Ogrodów Miejskich. Powyższa Komisja objęła prace przygotowawcze celem utworzenia „Towarzystwa Przyjaciół Zwierzyńca“, które prowadzić będzie dalej dzieło rozbudowy Zwierzyńca, według zasad nauki i dzisiejszych wymagań hodowli zwierzyny i ptastwa w możliwie naturalnych warunkach życia w przyrodzie, tj. dać oddech i słońce.

W niedługim więc czasie dzięki kilkuletnim trudom inż. Wobra, który nie upadając na duchu szedł naprzód naprzekór piętrzącym się przeciwnościom i stworzył prowizorjum, dzięki życzliwemu stanowisku miasta, oraz T-wa Przyrodników, posiędzie Gród Wawelski, jako stolica sztuk i nauk, atrakcję i ozdobę pięknego Parku Wolskiego, własny Zwierzyniec, którego znaczenie i bezsporną wartość pedagogiczno-przyrodniczą docenia dziś każdy kulturalny człowiek. Zwierzyniec bowiem, to podręcznik praktycznej zoologji, to pierwszorzędna pomoc szkolna przy nauce przyrody, to cenne laboratorjum dla każdego zoologa. I ten fakt jest właśnie powodem, że w ostatnich czasach ożywił się ruch w kierunku zakładania zwierzyńców po większych miastach.

* * *

Pragnąc mieć poczucie wiernie spełnionego obowiązku, podnieść tu muszę — oprócz zasług kilkakrotnie wspomnianego już inicjatora inż. Wincentego Wobra — również niczem nieopłacone i niezatarte zasługi około tworzenia Zwierzyńca PP.: Dr. Kazimierza Maślankiewicza, asystenta katedry Mineralogji Uniwersytetu Jagiellońskiego i Karola Łukaszewicza, profesora przyrody.

Osobiście przyznaję, że pochylają się barki moje pod ciężarem długu serdecznej wdzięczności jaki zaciągnąłem bez widoku — niestety — zupełnej spłaty jego wobec P. P. inż. Wobra, prof. K. Łukaszewicza i adjunkta Antoniego Koziarza, którzy z pełną życzliwością i młodzieńczą ochotą dostarczali mi niezmiernie cennego materjału, umożliwiając tem wydanie niniejszej rozprawki, która oby zakreśloną jej przy samem założeniu misję propagandy, spełniła z jak największym pożytkiem w początkach powstania pierwszego zwierzyńca w Małopolsce.



Dr. STANISŁAW KOŻMIAN REJCHER

Pies

III. Grupa dogów.

Rodzina dogów, to przeważnie psy duże, ciężkie, kościste, muskularne, z silnie rozwiniętą puszkową częścią czaszki, podniesioną krawędzią czołową i charakterystyczną, grubą, ściętą, mniej lub więcej długą kufą.

Nadmiar skóry na łbie wytwarza u niektórych gatunków dogów zwisające wargi, lub fałdy na czole.

Dog tybetański, Mastiff, dog Bordeaux, Bulldog angielski i francuski, Mops, New-Foundlańdczyk, pies z góry św. Bernarda, dog duński i niemiecki, Boxer, szwajcarska owczarka (Berner Sennenhund), Rotweiter i podobne do powyższych ras psy — należą do grupy dogów.

Powyższe rasy psów, według wszelkich danych naukowych, wraz ze swojemi odmianami karłowatemi, jako praojca posiadają wilka. Sporną jest kwestja, czy na ukształtowanie tych ras wpłynął jeden, czy więcej gatunków wilka.

Studer, Strebel, Hilzheimer twierdzą, że dogi początek swój wywodzą z Europy, natomiast Keller i Kraemer uważają Azję, jako ojczyznę dogów.

Ciekawem jest, jak każdy z powyżej wymienionych uczonych swój pogląd uzasadnia. Studer, który w pracach nad powstaniem ras i ich różnorodności wykazał dużo znajomości pochodzenia ras, mówi, że dogi wyhodowano z dużych psów domowych i jako takie na całej kuli ziemskiej znaleźć się mogły. Człowiek pierwotny dążył zawsze do tego, by wyhodować psa użytkowego. — W onych czasach najodpowiedniejszym psem użytkowym mógł być tylko pies silny i odważny. Pies pierwotnego człowieka musiał posiadać bardzo silne uzębienie, by mógł trzodę domową i swego pana obronić przed silniejszymi napastnikami. Musiał nieposłuszne domowe zwierzęta poskramiać, a na polowaniu każde napotkane zwierzę, czy drapieżne, czy roślinożerne, ubezwładniać. We wspomnianych tych czynnościach występuje, jako pierwsza i najważniejsza konieczność u psa: uzębienie silne i odpowiedni chwyt szczęk. Uzębienie było tem silniejsze, im szersza i krótsza była szczęka. Przekształcenie szczęki z szpiczastej do szerokiej i ściętej pociągnęło też formę zmienioną warg na zwisłą i grubą.

Nie zawsze jednak wszystkie części ciała przekształcają się proporcjonalnie. Szczególnie szczęka dolna mniej skłonna jest do zmian i oto powstaje pies, którego siekacze dolnej szczęki wystają ponad siekacze górne. — Krótsza, ale zato szersza czaszka stwarza, że krawędź czołowa jest bardzo silnie zagięta, w następstwie czego wydaje się i morda i nozdrza, jakby w górę podrzucone. Skóra na łbie jest luźna, tworzy fałdy, wargi zwisają — wobec czego cały wyraz psa staje się odstraszający. Zależnie od miejsca pobytu inaczej rozwijały się formy zewnętrzne i anatomiczne doga.

Dogi rozpowszechnione były w Europie jeszcze przed Nar. Chr. Pana. Posiadali je brytyjczycy, germanowie, grecy, asyryjczycy, persowie i indjanie.

Według prof. Hilzheimera również dog w Europie istniał od dawien dawna. Stroną ojczystą doga były Alpy północne i jako praojciec prawdopodobnie wilk środkowej Szwecji. Stąd rozszerzył się wilk w Europie aż do morza Śródziemnego — nie wychodząc nigdy poza południe Europy. Na wschód zawędrował jedynie do Mezopotamji, jak to świadczy plakat Birs Nimruda, na którym wyraźnie oglądamy Mastiffa.

Wywody Dra Hilzheimera mało są przekonywujące.

Jeżeli przyjmiemy, że Mastiff jest produktem systematycznej i długotrwałej hodowli, niezrozumiałe jest odnalezienie szczątków Mastiffa w epoce kamiennej t. j. tej, kiedy istnienie wogóle hodowli jest nieudowodnionem. Ludy stojące na prymitywnym stopniu kultury racjonalną hodowlą się nie zajmowały, jak wskazuje na to dzisiejszy stan mieszkańców strefy północnej. Wszak Łajka syberyjska dzisiaj jeszcze podobna jest do typu Canis familiaris Inostranzewi.

Ani Studer, ani Hilzheimer, nie potrafili przekonywująco udowodnić, że dog jest psem europejskim, a nie azjatyckim.

Keller a potem Kraemer uważają Azję, jako ojczyznę dogów. W Azji, krainie starej kultury, widzimy praojca doga dzisiejszego — doga tybetańskiego.

Wilk tybetański (Canis niger) osiadły na wzgórzach Tybetu, to praojciec wszystkich odmian doga dzisiejszego.

Twierdzenie, jakoby Canis dingo był praojcem psa tybetańskiego, nie znalazło poparcia kinologów.

Według Kellera, w literaturze (Chonking) z roku 1121 przed Narodz. Chr. Pana, znajdujemy już wzmiankę o psie tybetańskim. W owym czasie tresowany do polowania na ludzi, pies tybetański podarowany został cesarzowi chińskiemu.

Dog tybetański wędrował ze wzgórz Tybetu do Neapolu, Indji i Chin.

W Afryce za czasów Faraona dogów nie było.

W Grecji spotykamy dogi za panowania Aleksandra Wielkiego, który otrzymał je w darze od króla Porusa. W Grecji powstała hodowla molossów, które potem przedostały się do rzymskich kolonistów.

Przez Alpy przywędrowały do Helwecji i do innych krajów środkowej i wschodniej Europy.

Kronikarze dawniejsi nazywają psy tybetańskie indyjskiemi.

Magastenes (327 p. N. Chr.), poseł pełnomocny indyjskiego króla Selencusa-Zwycięzcy, na dworze króla indyjskiego, podaje, że psy molossy mają długie obwisłe uszy, są bardzo silnej kości, muskularne, a łby mają olbrzymie i pyski szerokie. Podobiznę tych psów znaleziono w Indjach na bramie w Sanchi Tope.

Na płaskorzeźbach babilońskich i assyryjskich z X. w. przed Nar. Chr., spotykamy dużo podobizn dogów, których używano jako myśliwskie psy.

Jaką drogą dogi dostały się do Galji i Brytanji, Keller

nie podaje. Prawdopodobnie Fenicjanie, ówczesny lud handlowy, gdy wyrzuceni byli przez Greków z Cypru, powędrowali z molossami na Sycylję, do Hiszpanji, Galji i Brytanji. Fenicjanie płacili haracz asyryjskim królom psami molossami. Nikt inny zdaje się, prócz Fenicjan, nie był importerem dogów indyjskich i assyryjskich do Europy. Mamy dogi hiszpańskie t. zw. Mastin, dogi Gallijskie zwane Bordeaux, brytyjskie pod nazwą Mastiff i duńskie.

Fenicjanie byli dostawcami tych wielkich i silnych psów w Europie.

Z Francji i Anglji przywędrowały dogi do Niemiec północnych i tam stworzyły typ Canis familiaris decumanus.

Dog azjatycki pochodzi z angielskiego Mastiffa, który do dnia dzisiejszego t. j. od blisko 3000 lat zmian żadnych w kształcie nie wykazuje.

Dzisiejszy niemiecki i duński dog, to produkt hodowlany angielskiego Mastiffa, względnie doga azjatyckiego z prastarym chartem brytyjskim.

Dogów używano do walki z ludźmi i zwierzętami. Zawsze towarzyszyły swoim panom na wojnach i na polowaniach. — W Niemczech dogi nazywano: Saupacker, Hatzrüden, Bärenbeisser.

Z dogów później powstał Boxer.

Z krzyżowania molossów ze szwajcarskiemi owczarzami powstały psy Bernardyny. Bernardyny w prastarych kształtach spotykamy u króla Xerxesa i Aleksandra Wielkiego.

Strebel spotkał wśród tybetańczyków psy podobne do dogów, tylko nieco lżejsze w budowie. Na mocy tego stawia Strebel hipotezę i to zupełnie słuszną, że prastara budowa psów była lekką, a typ ociężały to produkt hodowlany. Dlatego też łatwo obserwować się daje, że psy zawsze z łatwością wracają do form lżejszych.

Istnienie typu dogów ciężkiego i lżejszego tłumaczyć należy warunkami użytkowania.

Rzymianie hodowali psy ciężkie do walk z dzikiemi drapieżnikami na arenach i w lasach.

Helwetczycy natomiast woleli typ lżejszy, jako psy owczarskie.

Według zapisków historycznych moloss, względnie dog był długowłosy.

Końcowym typem grupy dogów jest Nowo-Fundlandczyk.

Podobno w czasie osiedlania się Anglików w Nowo-Fundlandji, t. j. w r. 1622 — psów tych tam nie było. Dopiero wzmianki o nim spotykamy w wieku XIX t. j. w czasie kiedy i w Anglji zdobyły sobie sympatje i popularność.

Nowo-Fundlandczyk, to typ molossa. Wprowadzili go tam Europejczycy, a otrzymali dzisiejszy typ przez krzyżowanie Molossa z dawniej już tam przebywającym psem tybetańskim. Budowa czaszki Nowo-Fundlandczyka i charakter jego świadczą o prawdziwości tej hipotezy.

Kapitan Brown w pracy swej p. t. „Anecdotes of Dogs" wydanej w r. 1829 uznaje Nowo-Fundlandczyka, jako najszlachetniejszego i największego arystokratę pośród całej rodziny psów. Jego poważny wzrost i siła, jego wzrok, powiada Brown, w pierwszej chwili wzbudzają strach — ale przyjrzeć się mu bliżej, to strach znika. Wyraz twarzy N. Fundlandczyka, to dobroć pełna, a w oczach jego niema ani odrobiny dzikości.



†

Ś. p. Piotr Łastowiecki

Sodalis Marianus, Właściciel dóbr Hadle w pow. Przeworskim, Delegat M. Tow. Łowieckiego

ur. w r. 1860, zmarł we Lwowie d. 10. czerwca 1929.

Padają jodły, walą się wiekowe dęby zwalczone potęgą czasu.

Do mogił na sen wieczny kładą się strudzeni Towarzysze, Druhy serdeczne.

Świeża i bolesna, a obszerna szczerba, powstała w topniejących coraz bardziej szeregach starszej Braci łowieckiej przez zgon tak przedwczesny, a niespodziewany ś. p. Piotra Łastowieckiego.

Myśliwym całą duszą był ś. p. Piotr, nie dla łupu jednak i rekordu, lecz przez gorące umiłowanie przyrody i sztuki łowieckiej. — Opiekun i hodowca zwierza wszelkiego, skąpym był dla siebie w odstrzale, szczodrym jednak dla przyjaciół i sąsiadów, którzy zawdzięczają mu niejedną niezapomnianą chwilę, przeżytą pod Jego przewodem w poważnej, a uroczej hadelskiej kniei. Rolnik z zawodu, ziemianin z tradycji i urodzenia, wrosły twardo jak dąb w swoją ziemię, przetrwał ś. p. Piotr Łastowiecki niewzruszenie dolę i niedolę na ojczystym zagonie, który przysporzył i uwielokrotnił, twardą, konsekwentną i rozumną pracą. — Kochał przyrodę i rozumiał jej głosy jak mało kto, a specjalnem umiłowaniem otaczał lasy, które zostawił po Sobie w wspaniałym stanie. W lesie też najchętniej przebywał, szukając w nim wytchnienia po pracy i bodźca do nowych wysiłków.

Niewzruszonych zasad, trafnego sądu o ludziach i rzeczach, wróg wszelkiej pozy i snobizmu, zdobył Sobie

ś. p. Piotr Łastowiecki ogólny szacunek i miłość ludzką, to też starano się o jego współpracownictwo w najprzeróżniejszych instytucjach powiatowych i krajowych i Jego arbitrażowi poruczano niejednokrotnie zawiłe sprawy. — Przyjęte obowiązki pełnił z rzadką sumiennością to też i na stanowisku delegata Mał. Tow. Łow., oddał w swojej okolicy niemałe usługi sprawie łowieckiej.

Ożeniony z ś. p. Wandą z Kozickich, Panią wielkich cnót domowych i zalet towarzyskich, stworzył z Nią wspólnie ze Swoich Hadel środowisko życia sąsiedzkiego ,dokąd każdy dążył skwapliwie a z żalem je opuszczał.

Przykładny i gorliwy katolik i Polak, na wskróś przesiąknięty ideą ziemiańską, oddawał się jej całe życie, które było jednem pasmem obywatelskiej myśli i uczynków.

Najlepszy Mąż i Ojciec, serdeczny i zawsze do czynu gotowy Przyjaciel, pozostawia ś. p. Piotr Łastowiecki ogólny i głęboki żal po Sobie, ogólną miłość ludzką i cześć dla zawsze twardo pełnionego obowiązku. Zaiste bogata to spuścizna. — Nie każdemu danem po sobie taką zostawić. — Nie każdemu danem jest być żegnanym taką powodzią łez serdecznych.

Na Twoją trumnę, Drogi Przyjacielu, kładę ostatni złomek jedliny, niech Ci towarzyszy Druhu serdeczny jako wspomnienie tych lasów, któreś tak ukochał, jako wspomnienie tych górnych chwil, wspólnie z Tobą pod ich sklepieniem przeżytych.

A. P.



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 20 czerwca 1929 r.

Przewodniczy Prezes J. hr. Bielski, obecni wiceprez.: A. Mniszek, i A. Sander, członkowie Wydziału inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, E. Münter, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz, zastępcy: M. Chrzanowski, St. Jaśkiewicz, Dr. Fr. Piechowski, prowadzący protokół Wł. Wesołowski. Nieobecność usprawiedliwili wicepr. Czarkowski-Golejewski, Wł. Garapich i dr. Ziembicki.

Dr. A. Małaczyński, M. Chrzanowski i Dr. J. Rosienkiewicz jako delegaci M. T. Ł. na doroczny Zjazd Towarzystw i Kół zrzeszonych w Centralnym Związku w Warszawie, zdali sprawę z wyników obrad tego Zjazdu.

Relacje naszych delegatów zamieszczone zostaną w sprawozdaniu z Walnego Zgromadzenia członków M. T. Ł. przed którem one powtórzone zostały.

Omówiono ostatecznie wszystkie sprawy ze Zjazdem się łączące.

Sprawozdanie ze Zjazdu M. T. Ł. t. j. z Walnego Zgromadzenia i z premjowego strzelania zamieścimy w następnym numerze „Łowca".

Sprostowania błędów drukarskich.

W 11-tym zeszycie „Łowca" z r. b., w artykule „Pół Wieku", str. 169, szpalta 1-sza, ust. 2-gi, wiersz 3-ci, ma być: **skalpelem**, a nie skalpetem. Szpalta 2-ga, ust. 4-ty, wiersz 8-my, po słówku **łoś** reszta słów odpada, natomiast wstawić należy wypuszczony ustęp: **doniedawna tak obszerne zamieszkiwał knieje, że jelenie karpackie sławne są na świat cały? Doprawdy, jeśli rola cywilizacji w traktowaniu przyrody jest smutna, to jednak współcześni myśliwi w tej cywilizacji są tymi właśnie, którzy mogą mieć czyste sumienie.**

Wszak hasłem naszem jest: przez łowy zespolenie się z przyrodą w jedno, przez ochronę zachowanie przyrody w stanie pierwotnym".

* * *

Tamże, ust. 5-ty, wiersz 6-ty, wyrzucić dziwoląga: **którononowanego**, dodać zaś: **którym uroku romantyki dodawało myślistwo z sokołami.**

Z zamiłowaniem historyka, z mroków przeszłości wydobył prelegent na światło odświętnej chwili jubileuszowej, przeżycia i wydarzenia łowcy ukoronowanego i...

Str. 170, szpalta 2-ga, ust. 2-gi, wiersz 3-ci, zamiast Dniest, ma być: **Dniestr.**

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32